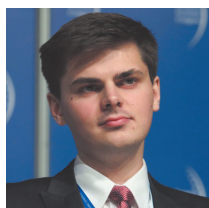


Dojrzały związek z UE – co to znaczy?

10 III 2021



MACIEJ TOMECKI

absolwent University of Cambridge, Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego

Mimo że należymy do Unii Europejskiej już od ponad 15 lat, to nadal często traktujemy Wspólnotę albo wyłącznie jako źródło łatwych pieniędzy, albo też jako krynicę mądrości, z której bezrefleksyjnie powinniśmy „importować” do Polski reguły gry i wartości. Żadna z tych dróg nie pozwoli nam na maksymalne wykorzystanie potencjału związanego z przynależnością do UE. Warto ustalić dziś, co chcemy osiągnąć w Unii i poprzez Unię, traktując ją jednak nie jako organizację dobroczynną, lecz jako miejsce, gdzie ścierają się interesy o wiele silniejszych podmiotów państwowych i gospodarczych, niż Polska i polskie firmy. Skończył się już czas rozwoju reaktywnego, w którym byliśmy „niesieni przez integrację”. Musimy być dziś proaktywni, mierząc jednak nasze zamiary na siły i będąc zdolnymi do tworzenia koalicji. Zarówno bowiem kładzenie się Rejtanem w obronie spraw niemożliwych do osiągnięcia, jak i bezkrytyczne dostosowywanie się do wszystkich pomysłów silniejszych członków UE jest dla nas drogą na manowce.

Unia Europejska – czego od niej oczekujemy?

„Dlaczego nadal powszechnie nie dostrzegamy, że reguły gry są ważniejsze i mają większą »moc sprawczą« niż pieniądze?” – pytał w swoim niedawnym tekście dr Jan Szomburg. Tak postawione pytanie ujawnia tak naprawdę polskie – wynikające z wielu czynników, także wewnętrznych – zapóźnienie rozwojowe polegające na braku kapitału zarówno tego materialnego, pozwalającego na finansowanie bardziej zaawansowanych projektów, jak i niematerialnego, czyli np. reguł. Mówiąc wprost, ujawniony dylemat polega na tym, czy przynależność do Unii Europejskiej ma dla nas charakter tylko i wyłącznie finansowy i oczekujemy głównie strumienia taniego pieniądza na rozwój naszej gospodarki (w tej klientelistycznej relacji zawsze jest pytanie: co w zamian?), czy oznacza dla nas przyjęcie – często bezrefleksyjne – zachodnich reguł gry, czy też wartości? Myślę, że nie jesteśmy skazani tylko na jedną albo drugą alternatywę. Wybór wcale nie musi być dramatyczny, wręcz przeciwnie: oczekujemy raczej, że z Unią będzie nam lepiej niż bez Unii.

Ten dylemat, znany w polskiej historii od dawna (np. spór między obozem sarmackim a kosmopolitycznym), ujawnił się w Polsce ponownie poprzez coraz bardziej niejednoznaczny stosunek do Unii Europejskiej, a w skrajnym przypadku – w dyskusjach o polexicie. Dyskusja dotycząca tego, po co jesteśmy we Wspólnocie jest bardzo istotna, ponieważ bez względu na to, jaka by ta Unia nie była, nie mamy dla naszego kraju tak naprawdę innej możliwej – czy to politycznej, czy ekonomicznej – alternatywy w Europie Zachodniej.

Trzy etapy polsko-unijnej relacji

Dynamikę relacji Polski z Unią Europejską podzieliłbym na trzy etapy:

1) Zakazana miłość (przed 1989 r.) i miłość nie od pierwszego wejrzenia (1989-2004) – etap „powrotu do Europy” i zachłyśnięcia się UE.

W okresie PRL-u nasze relacje z UE były, z powodów geopolitycznych jak zakazana miłość, momentami była to miłość platoniczna. Polska, podobnie jak inne państwa bloku komunistycznego, po 1989 r. widziała sprawę jasno: ponad czterdzieści lat komunizmu wyrzuciło nas z miejsca, do którego zawsze czuliśmy przynależność (historycznie i kulturowo). Po upadku Żelaznej Kurtyny nie chcieliśmy niczego więcej, jak tylko przywrócić naszą przynależność do Europy. I to właśnie „powrót do Europy” był tym hasłem, które wszystkich (lub prawie wszystkich) tak szlachetnie łączył na początku lat 90. Teraz, w dobie bardzo silnych podziałów, zdajemy się o tym nie pamiętać, a szkoda.

Zarówno Polacy, jak i polscy politycy postrzegali „powrót do Europy” jako jedyny właściwy, a co więcej *de facto* automatyczny krok, jaki należy wykonać. I to bez zbędnej zwłoki, jak najszybciej. Ta motywacja nie wynikała tylko z tego, że nasi sąsiedzi po zachodniej stronie żelaznej kurtyny wydawali się nam symbolami sukcesu gospodarczego i społecznego i żyło się tam, z naszego punktu widzenia, lepiej. Główny powód „powrotu do Europy” polegał na tym, że dołączenie się do wartości Zachodu oznaczało jednoczesne podpisanie się pod wartościami demokracji i nowoczesnej gospodarki rynkowej.

Niestety, wydaje mi się, że nasza perspektywa patrzenia na Europę Zachodnią lat 90. przez różowe okulary przysłania nam optykę starych państw Unii: mniej bowiem mówi się o tym, że upadek Muru Berlińskiego i rozpad ZSRR wywołał polityczny szok również na Zachodzie. Być może zabrzmiało to banalnie, ale właśnie fakt, że upadek żelaznej kurtyny jednakowo dotknął wszystkie kraje europejskie, bez względu na to, czy leżały na wschód czy na zachód od niej, miał decydujący wpływ na dalszy rozwój integracji Zachodu z naszą częścią Europy. Co oznacza, że określił też przyszłe oczekiwania obu stron, które, jak się wkrótce miało okazać, nie zawsze były spójne.

Perspektywa państw Zachodu już wtedy była nieco inna. Zarówno Unia Europejska, jak i jej państwa członkowskie były ze względu na liczbę nagle „bezpiecznych” krajów

postkomunistycznych co najmniej ostrożne. Zresztą skomplikowane zjednoczenie Niemiec, skuteczne studziło entuzjazm zwolenników szybkiej integracji z państwami naszego bloku.

Z perspektywy czasu, ten pierwszy optymistyczny etap naszego najpierw kandydowania, a potem członkostwa w UE można podsumować w taki sposób, że nastawiliśmy się w Europie Środkowej na wejście do Unii jako na oczywisty, automatyczny krok, choć brakowało nam nawet elementarnego pojęcia, co cała idea integracji europejskiej może w sobie skrywać, jak członkostwo w tak skomplikowanym ponadnarodowym stowarzyszeniu różnych państw może w praktyce działać, i że również może nieść ze sobą jakieś koszty. Przeważył argument, że wejście do UE jest i powinno być celem samym w sobie. Były to czasy szalonego wręcz euroentuzjazmu (szczególnie wśród elit politycznych i elit opinii), który, oddam uczciwie, był jak najbardziej uzasadniony na poziomie emocji i historycznych oczekiwań, ale trochę naiwny na poziomie znajomości reguł gry na Zachodzie.

“ **Etap najpierw naszego kandydowania, a potem członkostwa w Unii Europejskiej był czasem szalonego wręcz euroentuzjazmu, który był jak najbardziej uzasadniony na poziomie emocji i historycznych oczekiwań, ale trochę naiwny na poziomie znajomości reguł gry na Zachodzie.**

Dlatego, moim zdaniem, tak ciężko wielu osobom, zwłaszcza z pokolenia „Solidarności”, przychodzi jakakolwiek próba krytycznej, ale pozbawionej emocji oceny tego czasu i procesu. Po latach okazało się, że wejście do UE nie jest celem samym w sobie, ale miejscem do realizacji różnych celów rozwojowych – jednakże nie tylko Polski, ale także poprzez Polskę albo kosztem Polski. Wracając do dylematu „pieniądze czy reguły”: na tym etapie byliśmy przekonani, że od zawsze znamy reguły UE i jesteśmy częścią Europy, a pieniądze to szansa i konieczność dziejowa związana z naszym „powrotem do Europy”. Zachód był ostrożny, ale wizja zdobycia nowych rynków dla swoich firm była kusząca.

2) Oczekiwania vs rzeczywistość – od hurraoptymizmu do defetyzmu i zwątpienia w sens UE

Drugim etapem, który jest widoczny nie tylko w Polsce, ale także w innych państwach Europy Środkowej, jest etap eurosceptycyzmu, rozczarowania Unią. Ma on w mojej ocenie swoje źródła w dwóch zjawiskach: po pierwsze, w odkryciu zarówno przez polityków, jak i przez

firmy, że UE to nie organizacja dobroczynna wspierająca za darmo nasz rozwój, ale miejsce, gdzie ścierają się interesy o wiele silniejszych podmiotów (państwowych i gospodarczych) niż Polska i polskie firmy. Interesy te, dodajmy, nierzadko były sprzeczne z naszymi oczekiwaniami. Po drugie: okazało się, że nasze rozeznanie w unijnych regułach gry wcale nie jest tak dobre, jak nam się wydawało, natomiast pozostali gracze chętnie wykorzystują brak doświadczenia i obycia nowicjusza. To odkrycie, jak również trudy transformacji (w Polsce bardzo dużo mówi się o transformacji gospodarczej Balcerowicza, a mało o równie wymagającej transformacji polegającej na dostosowaniu naszego państwa, prawa, reguł, do schematów i oczekiwań UE) wyzwoliły falę eurosceptycyzmu i defetyzmu („nie na to się umawialiśmy”, „do innej UE wchodziliśmy”, „Nicea albo śmierć” itd.). W tym miejscu jednak nie można pójść na skróty i zrzucić wszystkiego na populizm. Myślę, że ten defetyzm i odwrót polityczny euroentuzjastów znajdował swoje uzasadnienie – wszak po okresie zakochania, zaczynamy dostrzegać też wady wybranki.

“ **Po okresie „zakochania” w UE, przyszedł czas na otrzeźwienie – okazało się, że Unia nie jest organizacją wspierającą za darmo nasz rozwój a także, że nasze rozeznanie w unijnych regułach gry wcale nie jest tak dobre, jak nam się wydawało, natomiast pozostali gracze chętnie wykorzystują brak doświadczenia i obycia nowicjusza.**

Dla wielu koszty wejścia do UE okazały się być trudne do zaakceptowania: drenaż mózgow, masowa emigracja i depopulacja, utrata młodej siły roboczej, czy konkurowanie niskimi kosztami pracy (czy ktoś jeszcze pamięta to naczelne hasło wielu polskich polityków i ekonomistów po wejściu do UE?). Zresztą walka o utrzymanie niskich kosztów pracy nie jest żadną przewagą konkurencyjną, ale raczej zasłoną dymną wobec braku innych przewag.

Mówiąc obrazowo, sukces wejścia Polski do UE wyglądał trochę tak, że Polacy cieszą się, że w końcu mają nowe, dobre autostrady za unijne pieniądze, ale nie podoba im się, że na ich budowie zarobiły niepolskie firmy, a polskie zbankrutowały. W dodatku okazało się, że Unia Europejska nie jest organizacją idealną, ale taką, która też popełnia błędy, przechodzi kryzysy, a co więcej – samo wejście do UE i do NATO nie oznaczało końca historii dla Polski. Ten miesiąc miodowy trwał od 2004 do 2008 r., gdy kryzys ekonomiczny pokazał, że wiele instytucji

unijnych, np. strefa euro, było projektowanych raczej na dobre czasy, a ich konstrukcja jest dość delikatna i mało odporna na wstrząsy tak zróżnicowanych rozwojowo państw Wspólnoty.

3) Dojrzały związek

Jeśli Polska ma w przyszłości odgrywać ważniejszą rolę w Unii Europejskiej, musi ponownie przemyśleć swoje obecne podejście, zwłaszcza że przed naszym krajem i UE bardzo wiele wyzwań wynikających m.in. z rewolucji technologicznej, zmian klimatycznych czy nowej masowej wędrowności ludów, nie mówiąc już o wyjściu z pandemii.

Moim zdaniem istnieją dwa brzegowe warunki do dalszej dyskusji. Pierwszym jest zaakceptowanie, że od ponad piętnastu lat nie ma podziału „my” i „oni”, lecz jesteśmy tylko „my”. Polska jest po prostu członkiem UE nie tylko ze wszystkimi przywilejami finansowymi, ale także z wiążącymi się z tym zobowiązaniami i kosztami oraz regułami. Tymczasem wciąż przeważają u nas dwie postawy. Pierwsza: Unia daje nam środki, więc my jako biedny kuzyn ze Wschodu powinniśmy tylko dziękować i grzecznie się uśmiechać, dbając żeby nikogo nie urazić ani nie popełnić żadnego nietaktu wobec sponsorów, a dobre słowo w prasie zachodniej jest dla nas bardzo cenne, czasem cenniejsze niż realne polskie interesy. Druga postawa zakłada odwoływanie się do polskiej tradycji anarchii i warcholstwa, zgodnie z którą należy zmaksymalizować zyski i wycisnąć UE jak cytrynę, ale nie zważać na europejski salon – w końcu szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, w tym wypadku równy Komisarzowi UE. Oba stanowiska ujawniają polski kompleks rozwojowy i poczucie braku świadomej przynależności do Europy.

Z pewnością UE jest skomplikowanym, stale zmieniającym się podmiotem, należy oddać, że nie zawsze zgodnie z naszymi oczekiwaniami. Niezależnie od tego, podlega ona pewnym zasadom, które obowiązują pomimo wszystkich rewizji i zmian. Myślę, że bardzo ważną zasadą jest to, że potencjał koalicyjny państw członkowskich nie zależy przede wszystkim od tego, jak widowiskowo kładą się Rejtanem czy grożą vetem, albo jak pilnie podporządkowują się silniejszym. Potencjał negocjacyjny państw zależy od tego, jak długo ich postawy i argumenty są przewidywalne w perspektywie długoterminowej dla innych państw. Możemy narzekać, że silniejsi łatwiej przepychają swoje interesy, jednak to nie jest dostępna ścieżka dla nas. Zastanówmy się jednak, czy np. państwa, które nie przyjęły euro, jak chociażby Szwecja albo Dania, znalazły się z tego powodu pod prężaniem innych członków Wspólnoty i KE? A może Hiszpania za to, że ma problem z patentem europejskim? Myślę, że nie, ponieważ wszystkie te państwa były w stanie powiedzieć, że nie zgadzają się z niektórymi działaniami Unii – mówiły o swoich stanowiskach i uzasadniały je konsekwentnie i spójnie tak długo, jak było to konieczne.

Dla Polski oznacza to dwie rzeczy. Po pierwsze, powinniśmy określać interesy, które chcemy promować w UE. Wymaga to profesjonalnego aparatu dyplomatycznego – takiego, który służy tym interesom, a nie stanowi narzędzie do realizacji polityki wewnętrznej na arenie UE albo zajmuje się obsługą interesów unijnych w Polsce.

“ **Powinniśmy określać interesy, które chcemy promować w UE. Wymaga to profesjonalnego aparatu dyplomatycznego – takiego, który służy tym interesom, a nie stanowi narzędzie do realizacji polityki wewnętrznej na arenie UE albo zajmuje się obsługą interesów unijnych w Polsce.**

Unia Europejska to miejsce, gdzie można osiągać cele polityczne możliwe do osiągnięcia – brzmi to banalnie, ale często zapominamy, że działając na przekór całej UE, nic nie zdołamy. Obecnie poszczególne właściwe ministerstwa często bardzo dobrze formułują swoje stanowiska ramowe w sprawie poszczególnych propozycji, które pochodzą z Brukseli, ale nikt nie jest w stanie skutecznie ich priorytetyzować i promować w sposób długofalowy. Polski rząd nie powinien robić tego sam, ani wyręczać się np. Węgry, lecz działać wraz ze swoimi partnerami, budować koalicje.

“ **Unia Europejska to miejsce, gdzie można osiągać cele polityczne możliwe do osiągnięcia – brzmi to banalnie, ale często zapominamy, że działając na przekór całej UE, nic nie zdołamy.**

Cały ten wysiłek komunikacyjny będzie jednak bezzasadny, jeśli nie poprzedzimy go zdefiniowaniem naszych interesów które chcemy promować w UE i poprzez UE. Najlepiej, gdyby były one akceptowane w całym spektrum politycznym i w perspektywie długoterminowej, włączając w to argumentację pozytywną.

Myślę, że wersją minimum jest znalezienie odpowiedzi na pytanie co dokładnie dla nas oznacza, że chcemy się mniej integrować? Czy nie chcemy unijnych funduszy i dotacji? Jeśli tak, to czy mamy pomysł jak finansować nasze priorytety niezależnie od UE? Obecnie wydaje mi się, że zdecydowana większość środków rozwojowych, na innowacje są w znakomitej części finansowania z środków UE, a środki krajowe są w kierowane na wydatki społeczne i zdrowotne – czy mamy pomysł jak to zmienić?

W drugim roku można zastanowić się, czy możemy zdefiniować nasz „program” inaczej niż negatywnie? Może chcemy, aby UE robiła wszystkiego mniej, ale przynajmniej porządnie (co ostatecznie nie leży tylko w interesie państw członkowskich, ale także samej UE)? Czy może, żeby transformacja energetyczna była sprawiedliwa i nie zostawiała nikogo w tyle?

Odpowiedzi poprawne, a przede wszystkim „będące możliwymi do długoterminowego dotrzymania” zostaną udzielone tylko wtedy, jeśli w ogóle włączymy się poważną dyskusję w UE i o UE. I nie będziemy ignorować sugestii dotyczących większych przemian w Unii, niezależnie od tego, czy jest nam po drodze z tymi, którzy te dyskusje inicjują.

Drugim kluczowym warunkiem dyskusji na temat przyszłości Polski w UE jest nasza świadomość słabości UE. Nie ma co ukrywać – Wspólnota wypracowuje swoje stanowiska, propozycje dość wolno, a aparat biurokratyczny jest ociążały. Silne państwa mają więcej do powiedzenia i niektóre reguły UE są stosowane niejednolicie. Jednak w mojej ocenie, największym mankamentem Unii jest trwanie w przeświadczeniu, że Europa jest światowym liderem w wielu obszarach gospodarczych, posiada najnowsze technologie i zasadniczo kroczy w awangardzie zmian. Niestety, czas od wymyślenia strategii lizbońskiej (dla fanów unijnej planistyki polecam sprawdzić realizację tego dokumentu, który w 2020 r. miał z UE zrobić światowego lidera nowych technologii wyprzedzającego Stany Zjednoczone – o Azji nawet nie było mowy) do koronakryzysu dość sporo zmienił. Gospodarka unijna ma bardzo niewiele do powiedzenia w technologiach IT, firmy europejskie mocno przespały pierwszą fazę obecnej rewolucji technologicznej, a zdecydowana większość cyfrowego rynku podzielona jest pomiędzy USA a firmy z Azji. Polska powinna zatem mieć wypracowaną jasną agendę, co robić w wypadkach, gdy UE nie domaga.

“ **Nasze dojrzałe uczestnictwo w Unii Europejskiej powinno się wiązać z byciem świadomymi jej wad. Wspólnota nie dość, że jest mocno zbiurokratyzowana i wypracowuje swoje stanowiska wolno, to tkwi też w fałszywym przeświadczeniu, że jest globalnym liderem w wielu obszarach gospodarczych, posiada najnowsze technologie i zasadniczo kroczy w awangardzie zmian.**

Historia się nie skończyła

Niestety, rozczaruję wielu – historia wcale się nie skończyła, a umęczone ciągłymi transformacjami polskie społeczeństwo, nie odnajdzie prędko swojego Soplicowa. Po transformacji lat 90., przemianach związanych z przystosowaniem się do członkostwa w UE i NATO, Polska ma jeszcze wiele do zrobienia. Pierwszym z dwóch największych wyzwań rozwojowych dla Polski jest transformacja energetyczna i realizacja Europejskiego Zielonego Ładu (tutaj zarówno bez pieniędzy z UE, jak i zmiany reguł społeczno-gospodarczych się nie odbędzie). Zielony Ład, czy tego chcemy czy nie, bardzo szybko i długofalowo zmieni naszą gospodarkę, zależność od paliw kopalnych, górnictwa. Polski nie stać na reaktywność, wobec tego procesu albo tylko na jego blokowanie. Z drugiej strony bezrefleksyjne przyklaskiwanie na każdy pomysł większych gospodarek związanych z Zielonym Ładem to strategia zgubna.

Drugim bardzo dużym wyzwaniem, jest pułapka demograficzna państwa szybko rozwijającego się, która może spowodować, że szybciej się zestarzejemy (jako społeczeństwo), nim zdążymy się wzbogacić (jako gospodarka). Po prostu może okazać się, że w perspektywie 10 lat brak młodych ludzi do pracy wywoła spowolnienie rozwoju gospodarczego, a coraz większa liczba osób w wieku emerytalnym będzie mocno ciążyć na finansach publicznych, przez co środki budżetowe będą nakierowane nie na cele rozwojowe, ale tylko na społeczne.

Z pewnością budowanie dojrzałego, świadomego uczestnictwa w UE nie pójdzie jak z płatka. Będziemy musieli być bardziej cierpliwi i nieco pokorni. Warto zauważyć, że nie będziemy „niesieni przez integrację” – a przynajmniej nie tak łatwo, jak nam to się przez ponad 15 lat udawało – czyli musimy być bardziej aktywni, a nie wyłącznie reaktywni. Jeśli nie z innego powodu, to przynajmniej dlatego, że po kilkunastu latach od wejścia UE, najwyższy na to już czas.

“ **Z pewnością budowanie dojrzałego, świadomego uczestnictwa w UE nie pójdzie gładko, będziemy musieli być cierpliwi i nieco pokorni. Warto zauważyć, że nie będziemy „niesieni przez integrację” – a przynajmniej nie tak łatwo, jak nam to się przez ponad 15 lat udawało – czyli musimy być bardziej aktywni, a nie wyłącznie reaktywni.**

O autorze

Rocznik 1991. Absolwent University of Cambridge oraz Uniwersytetu Warszawskiego. Interesuje się zagadnieniami związanymi z Europejskim Zielonym Ładem, a zwłaszcza z dekarbonizacją energetyki i przemysłu. Posiada kilkuletnie doświadczenie zawodowe, zarówno w sektorze publicznym, jak i prywatnym. Dwukrotnie wyróżniony stypendium Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego za wybitne osiągnięcia. Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego.